



Jeszcze o habilitacji

Podczas dyskusji toczącej się na łamach PAUzy przedstawiono mnóstwo argumentów za i przeciw habilitacji. Nie będę ich cytował. Stwierdzą jedynie, że jestem zdecydowanym zwolennikiem utrzymania habilitacji jako swoistej oceny wypełniania przez pracownika obowiązków służbowych. Zacznę od stwierdzenia najbardziej oczywistego, wynikającego z umowy o pracę. Umowa jednoznacznie definiuje, iż osoba podejmująca pracę na uczelni jest zobowiązana do prowadzenia dydaktyki i badań naukowych. Skoro tak, pracodawca ma prawo oczekiwać udokumentowania realizacji obydwu składowych umowy, a jedyną dokumentacją badań są publikacje zauważalne w dziedzinie działalności naukowej pracownika, co przekłada się na cytowania. Krótko mówiąc: zwykła, rzetelna realizacja przez pracownika podjętego na siebie zobowiązania prowadzi bezpośrednio do nagromadzenia dorobku naukowego. Wystarczy wyselekcjonować z tego dorobku monotematyczny cykl artykułów, wypełnić pewną liczbę papierów i tyle. Nie słychać złagodzone przepisy habilitacyjne kończą się przecież najczęściej dyskusją Komisji Habilitacyjnej, na którą często nie zaprasza się kandydata. Czy można pójść dalej w ułatwieniach? Przypomnijmy dawne habilitacje: monografia lub książka, kolokwium, przygotowanie trzech wykładów do wyboru przez Radę Wydziału/Instytutu, wreszcie oczekiwanie na zatwierdzenie przez CK. W przypadku wieloczłonowych wydziałów, takich jak BiNoZ, można się było spodziewać wszelkiego rodzaju pytań. Jestem geologiem, ubiegałem się o habilitację z dziedziny nauk o Ziemi, a musiałem odpowiedzieć na pytanie profesora biologii: jaka jest różnica pomiędzy kolonią mew i kolonią koralowców. Współczesnych habilitantów wszelkie takie stresy omijają. W moim przekonaniu habilitacja nie jest obecnie żadnym progiem trudnym do przekroczenia. Jest niczym więcej, jak dowodem rzetelnego wywiązywania się przez pracownika z podjętego na siebie obowiązku służbowego, łatwo realizowanego przez pasjonata nauki.

W czym zatem rzecz i o co chodzi w tym namiętym zwalczaniu habilitacji jako rzekomej bariery w rozwoju naukowym? Czy przypadkiem nie chodzi o brak dorobku naukowego tak znaczącego i obszernego, by wydzielić z niego część jako rozprawę habilitacyjną, pozostawiając dość na uzupełnienie osiągnięć naukowych? Inaczej mówiąc, czy zwalczanie habilitacji nie jest przysłowiową wodą na młyn osób, które nie wypełniają podstawowego obowiązku wynikającego ze stosunku pracy, nie są bowiem pasjonatami nauki i nie powinny być w ogóle znaleźć pracy na uczelni?

W każdym kraju, w którym byłem, a bywałem w wielu, istnieje system oceny, gradacji i awansu naukowego. Bywa on bardzo specyficzny dla danego kraju, bywa zbliżony do wielu innych. Młodszym czytelnikom PAUzy i dyskutantom przypomnę, że mieliśmy w Polsce bardzo poręczne stanowisko docenta, uzyskiwane po habilitacji. Anegdota głosiła, iż pewien wiceminister nie miał szans na profesurę tytularną, przemycił zatem w ustawie potworka w postaci stanowiska profesora uczelnianego i zlikwidował docenturę. Nie jestem biegły w nowym prawie. Czy jest w nim aby na pewno nakaz prowadzenia przez profesora uczelnianego badań naukowych pod rygorem cofnięcia na stanowisko adiunkta lub zwolnienia z pracy? A jeśli jest, czy będzie rzetelnie stosowany? Znałem niegdyś kogoś, kto w ciągu 26 lat zatrudnienia 'wysmażył' jeden mały przyczynek, a nie zwalniano go, ponieważ był „takim miłym i uczynnym kolegą”.

Zlikwidowaliśmy docenturę, namnożyliśmy profesorów uczelnianych, zlikwidujemy jeszcze habilitację, a z pewnością będzie miał rację Jan z Czarnolasu, pisząc: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą i po szkodzie głupi”. Narody i państwa rzeczywiście znaczące w nauce mają systemy gradacji i awansu naukowego, niezmiennie przez dziesięciolecia, a nawet przez wieki. My wierzymy w reorganizację, zamiast uwierzyć w dwie proste prawdy: nie reorganizacja, a pieniądze i odpowiednia mentalność napędzają naukę.

JERZY FEDOROWSKI

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza



Historia magistra vitae?

[...] Uważamy, iż obowiązkiem Komitetu Centralnego jest dokonanie w najbliższym czasie szczegółowej analizy zaniedbań w naszej pracy politycznej i wychowawczej wśród młodzieży w ogóle, a wśród młodzieży szkolnej i studenckiej w szczególności, i wyjaśnienie przyczyn, dla których znaczną część młodzieży cechuje skłonność do anarchistycznych reakcji i podatność na każdą, najbardziej niewiarygodną plotkę polityczną.

Szczególną uwagę zwrócić musimy przede wszystkim na postawę i działalność kadry naukowo-dydaktycznej w szkołach wyższych. Na barkach nauczycieli akademickich spoczywa bowiem główna odpowiedzialność nie tylko za kształcenie, lecz również za wychowanie młodzieży, za kształtowanie jej obywatelskiej postawy i wdrażanie do dyscypliny społecznej.

Partia nasza i najwyższe władze państwowe w ciągu ostatnich lat niejednokrotnie zwracały pracownikom nauki uwagę na poważne zaniedbania w pracy wychowawczej w szkołach wyższych i niedostateczne zaangażowanie kadry naukowo-dydaktycznej w tę pracę.

Ostatnie wydarzenia na uczelniach ujawniły niepokojące objawy niedyscyplinowania młodzieży wobec zarządzeń władz akademickich. Te wydarzenia postawiły władze uczelniane oraz ogół pracowników naukowo-dydaktycznych, jako organizatorów życia i pracy uczelni i wychowawców młodzieży, w obliczu wielkiej próby. Przed niespełna 10 laty, przy aktywnym poparciu Klubu Poselskiego naszej partii, Sejm obdarzył szkoły wyższe szerokim samorządem, powierzając profesorom i docentom wybór władz uczelni, uzależniając od ich opinii politykę mianowań i awansów, przyznając środowisku naukowemu szerokie uprawnienia w zakresie kształtowania programu i metod pracy uczelni. Lecz komu wiele dano, od tego i wiele trzeba wymagać. Szeroki zakres praw oznacza równocześnie wielki ciężar odpowiedzialności za porządek na uczelniach. Za niezakłócony rytm pracy dydaktycznej, za los młodzieży.

Władze państwowe, klasa robotnicza, całe społeczeństwo mają prawo zapytać dziś kadre naukową szkół wyższych, jak z tej odpowiedzialności się wywiązała. [...]

W toku szybko narastających wydarzeń, dość precyzyjnie przygotowanych i organizowanych przez zakonspirowaną grupę, uległa jednakże dezorientacji i nie wykazała należytej aktywności również znaczna część tych pracowników naukowo-dydaktycznych, którzy nie mają żadnych powodów do solidaryzowania się z hasłami politycznymi inspiratorów akcji. Ta dezorientacja i bierność znacznej części pracowników naukowo-dydaktycznych wyrządziła niemałe szkody i stała się istotną przyczyną dezorganizacji pracy uczelni.

Gdyby cała kadra naukowo-dydaktyczna od pierwszej chwili zajęła zdecydowaną postawę wobec wicherzycieli, nie doszłoby w ogóle do dezorganizacji pracy uczelni, względnie zakłócony porządek mógłby być szybko przywrócony. Na jednego pracownika naukowo-dydaktycznego w szkołach wyższych w Polsce wypada bowiem obecnie 8 studentów. Na największych uniwersytetach i politechnikach stosunek ten jest jeszcze korzystniejszy.

Cenimy wysoko twórczy trud naukowców, inżynierów, techników, ekonomistów, nauczycieli, pisarzy i artystów,

specjalistów wszystkich dziedzin i ich wkład do rozwoju Polski Ludowej. Przywiązujemy wielkie znaczenie do społecznej roli inteligencji w naszym kraju. W niej widzimy siłę, której twórcza praca decyduje o postępie techniki, o poziomie kwalifikacji ogółu pracujących, o rozwoju kultury narodu. Jej postawa wywiera wielki wpływ na duszę narodu, na jego świadomość i poglądy.

Dzisiejsza inteligencja polska zdobyła wykształcenie lepsze, pełniejsze i bardziej nowoczesne niż jakkolwiek generacja jej poprzedniczek. Głębokim przeobrażeniem uległa również postawa polityczna inteligencji, jej stosunek do socjalizmu. [...]

Dlatego też nacechowana negacją postawa nielicznej grupy wśród nauczycieli akademickich, wśród literatów i ludzi sztuki nie przesłoni nam prawdy o postawie całości inteligencji polskiej i nie potrafi poróżnić tej inteligencji z klasą robotniczą i jej partią.

Od wielu lat właśnie w Polsce wszystkie dyscypliny naukowe, zarówno techniczne, przyrodnicze, jak i humanistyczne, korzystają z pełnej swobody działalności naukowej. Nikt z pracowników naukowych w Polsce Ludowej nie został dotychczas pozbawiony katedry z tytułu swych poglądów naukowych. Dyskusje naukowe są regułą naszego życia akademickiego. Każda poważniejsza szkoła naukowa dysponuje swymi placówkami naukowymi w szkolnictwie lub Polskiej Akademii Nauk i odpowiednimi publikacjami.

Nasza partia i władze państwowe sprawujące nadzór nad szkolnictwem wyższym wykazywały dużą — i jak dowidło doświadczenie, niestety o wiele za dużą — wstrzeźliwość i ostrożność w ingerowaniu w życie środowisk naukowych z powodów politycznych.

Jeśli dzisiaj istnieje jakiegokolwiek zagrożenie dla swobody badań i dyskusji naukowych, to zostało ono stworzone nie przez politykę naszej partii, lecz przez akcję tej grupy politykierów z tytułami naukowymi, która swobody tej nadużywała dla szerzenia wrogich, rewizjonistycznych poglądów, dla siania zamętu w umysłach młodzieży.

Partia nasza zdaje sobie sprawę z tego, że prawdziwie trudne i wymagające rozwiązania problemy twórczości naukowej w Polsce leżą w innej płaszczyźnie. Są to przede wszystkim problemy tworzenia takich organizacyjnych i materialnych warunków rozwoju nauk technicznych i matematyczno-przyrodniczych, które odpowiadałyby potrzebom dyktowanym przez współczesną rewolucję naukowo-techniczną. Problemy te są od wielu miesięcy przedmiotem zainteresowania kierownictwa partii i rządu. Chcemy przed najbliższym zjazdem naszej partii przedyskutować je wnikliwie ze środowiskiem naukowym i zrobić wszystko, co jest niezbędne i co leży w granicach możliwości naszego kraju, aby stworzyć warunki do dalszego twórczego rozwoju nauki polskiej. [...]

Partia nasza, aktyw robotniczy i społeczny, organy władzy państwowej powinny działać stanowczo, lecz spokojnie i jednocześnie utrzymywać wzmoczoną czujność. Wróg nie śpi, zarówno ten, który działa bezpośrednio w naszym kraju, jak zwłaszcza ten, który usiłuje szkodzić Polsce od zewnątrz, z zagranicznych ośrodków propagandy, dywersji i szpiegostwa. [...]

WŁADYSŁAW GOMUŁKA

Warszawa, Sala Kongresowa, 19 marca 1968

O mądrzeniu

Artykuł profesora Sztompki w PAUzie 527 pt. *O habilitacji i nie tylko – z perspektywy konserwatywnej* miał za punkt wyjścia habilitację, o której raz po raz wraca dyskusja, ale jak w tytule daje się odczytać szerzej, a u mnie wywołał wspomnienia związane z uprawianym bardzo wiele lat zajęciem dziennikarza, zajmującego się sprawami nauki.

Pośród tematów poruszanych przez dziennikarzy „naukowych” pierwszym była zawsze (i jest) popularyzacja osiągnięć badawczych. Drugim – przedstawianie społeczeństwu autorów osiągnięć, tj. uczonych, zwłaszcza polskich, zwykle na światowym tle.

Od początków pracy interesuje mnie pytanie (cieszę się, może przewrotnie, że wciąż aktualne), które w uproszczeniu można sformułować tak: W czym człowiek spoza nauki może i powinien naśladować uczonego? Uprzedzając kontrpytanie: Dlaczego miałby to robić, odwołam się do przekonania – chyba powszechnego – iż uczeni cieszą się w społeczeństwie autorytetem, a ludzi z autorytetem warto starać się naśladować, choćby po to, żeby samemu zyskać taki autorytet – z innych powodów i w innym obszarze społecznych relacji, także satysfakcjonujący i potrzebny. Od razu trzeba uściślić zasięg określenia: autorytet w opisanym tu kontekście. Obejmuje ono osoby mające autentyczny duży dorobek w swoich dziedzinach i niekwestionowaną opinię etyczną. Stanowią mniejszą część swojego środowiska, ale tę o większym znaczeniu i pożądanym oddziaływaniu.

W kategoriach socjologicznych jest to, jak sądzę, pytanie o rolę społeczną uczonego, a w każdym razie o jakąś część tej roli, obok jej sedna, jakim jest dostarczanie wiedzy o świecie, przekazywanie jej uczniom i praktykom, którzy z pomocą uzyskanej wiedzy świat poprawiają.

Przekazywanie wiedzy, kształcenie, łączy się z wychowaniem, tj. udzielaniem, poza wiedzą, także wskazówek, a przede wszystkim wzorów zachowań i postępowania. I to mogłoby wyczerpywać rolę społeczną ludzi uprawiających naukę. Na dobrą sprawę nie musimy od nich niczego więcej oczekiwać.

Można jednak spojrzeć z odwrotnej perspektywy – od strony, jak w dziennikarskim języku mówimy, odbiorców, czyli społeczeństwa, które na ogół hołubi swoich uczonych, zarazem czujnie obserwując, czy ich praca nie przynosi złych „skutków ubocznych”. Z takiej perspektywy można zobaczyć (dzieje się to raczej rzadko) to, co profesor Sztompka opisał jako ustawiczne staranie ludzi nauki, aby być mądrzejszymi. Owo mądrzenie w trakcie przebywania drogi naukowej (mają w nim udział własne i innych badania) jest, jak myślę, psychicznym imperatywem wbudowanym w osobowość, może przesądzającym o wyborze nauki na życiowe zajęcie i zarazem niewysychającym źródłem satysfakcji.

W wielu rozmowach z przedstawicielami naukowego świata słyszałam zarówno wspomnienia o tym, jak mój interlokutor na początku drogi starał się dorównać mądrością swemu akademickiemu otoczeniu, a gdy sam stał się mistrzem – z raz po raz doznawaną satysfakcją – zachęcał uczniów do bycia coraz mądrzejszymi. Może trzeba wyjaśnić, czy raczej przypomnieć, co tu rozumiemy przez mądrość: nie wypełnianie magazynu rzeczowej wiedzy, nie zapisywanie w pamięci encyklopedycznych formuł, ale szybkie rozpoznawanie w otaczającym świecie tego, co jest

tajemnicą, a powinno być odkryte z uwagi na ciekawość poznawczą i nierzadko na aktualne znaczenie praktyczne. Mądrość dyktuje szukanie rozwiązań tajemnicy pośród trafnie rozpoznanych ścieżek, którymi szli lub idą inni (także mądrzy) badacze. Mądrość każe wykraczać poza granice własnej, często zbyt wąskiej, specjalności i mądrzeć na mniej znanym obszarze, z nadzieją, że „nowicjusz” zobaczy tam coś, co umykało spojrzeniu bywalca.

Próbuję pokazać cechę (cnotę?) właściwą uczonym, która może być wzorem dla szerszego ogółu ludzi zajmujących się zawodowo różnymi rzeczami, bo wydaje mi się, że nie ma takiego zajęcia, dla którego mądrzenie nie byłoby pożyteczne, ani takiej sytuacji życiowej, w której nie przynosiłoby satysfakcji.

Oczywiście, przychodzą do głowy przestrogi. Każda ludzka cecha może się wynaturzyć i stać własną karykaturą. W omawianym przypadku byłoby nią wymądrzanie się, tj. w dużym uproszczeniu, zaprzeczanie każdemu sądowi, każdej opinii własnym zdaniem, z akcentem, że góruje ono mądrością – bo mądrzejszy jest autor wypowiedzi – przy niedostatku rzeczowych argumentów. Zdarza się zapamiętanie w takim przeświadczeniu i trzeba przeczekać tego, co wszystkie rozumy zjadł – albo pomóc mu się wyleczyć.

Spotykając się z rodzinami inteligentnymi, w których trwa tradycja pracy naukowej, wypytuję o główne rysy domowego wychowania młodych, o stawiane wymagania. Przeważają odpowiedzi wskazujące na obecność w klimacie takich domów (gdzie rodzice byli pochłonięci akademickimi zatrudnieniami) ambicji „mądrościowych”, nie narzucanych, nie rozbudzanych nakazami, ale zaszczepianych przykładem, obecnych w ogólnym wzorze „porządnego człowieka”.

Pytania, czy porządny człowiek powinien być mądry, czy ambicja, by mądrzeć, przydaje czegoś porządnemu człowiekowi, trzeba kierować do etyków, licząc na wyczerpującą odpowiedź, ale na poziomie codziennych rozstrzygnięć wydają się właściwe i pożyteczne odpowiedzi twierdzące. Mądrzenie, tj. pomnażanie mądrości, częściej przynosi pozytywne skutki niż trwanie na tym samym jej poziomie.

Wracając do artykułu profesora Sztompki, dziękuję za autorytatywną konstatację, iż istotną, może najważniejszą, cechę postawy uczonego w świecie i wobec świata stanowi nieustające mądrzenie, podążanie za celem, jakim jest poznanie – nieosiągalnym bez reszty, wciąż pożądanym, przez co inspirującym do wysiłku. Obok tej cechy niezbędne są, naturalnie, określone talenty, które daje Bóg albo Natura wedle nierozpoznanych przez człowieka zasad.

W dobie słabnięcia autorytetów, na co powszechnie narzekamy, nie znajdując dotąd remedium, warto zastanowić się nad możliwym wpływem tych, co jeszcze w jakiejś mierze trwają, jakkolwiek nie bez uszczerbku. Kiedy powtarzamy slogan o budowaniu „społeczeństwa wiedzy” (obok działają ruchy antyszczepionkowe), uważniejsze przyjrzenie się tym, którzy wiedzę tworzą, a co najmniej gromadzą, może prowadzić do aktywniejszego udziału w budowaniu. Proponowanie tego jest zarazem apelem do popularyzatorów nauki o uzupełnienie przekazu do społeczeństwa bogatszym prezentowaniem autorów badań, odkrywców, twórców nowych urządzeń, byśmy poznawali przyimoty warunkujące ich osiągnięcia.

MAGDALENA BAJER

Przedawnienie

O ile się nie mylę, nawet najcięższe przestępstwa ulegają w Polsce przedawnieniu po upływie 30 lat. Jest kilka wyjątków: zbrodnie przeciwko ludzkości, czy morderstwa i tortury stosowane przez funkcjonariuszy państwa (w ramach czynności służbowych).

Zapewne prawodawca uznał, że po 30 latach od popełnienia zbrodni mamy już do czynienia z innym człowiekiem i wobec tego kara nie dotyka tego, który popełnił zbrodnię, co może być rozumiane jako jawna niesprawiedliwość. Wspomniane wyjątki dotyczą spraw, w których ewentualne śledztwo jest, z natury rzeczy, możliwe zazwyczaj dopiero po wielu latach od popełnienia przestępstwa i dlatego chciano uniknąć poczucia całkowitej bezkarności u sprawców.

Jednak formalne przepisy to jedno, a rzeczywistość to zupełnie co innego. Wszak zaniechanie ścigania przestępstwa przez uczciwą opinię publiczną. Ludzie „przywocni”, którym zdarzyło się potknąć i wejść w konflikt z prawem, odczuwają to – rzecz jasna – znacznie boleśniej.

Oczywiście zawodowi przestępcy, dla których naturalnym środowiskiem są im podobni, nic sobie nie robią z potępienia przez uczciwą opinię publiczną. Ludzie „przywocni”, którym zdarzyło się potknąć i wejść w konflikt z prawem, odczuwają to – rzecz jasna – znacznie boleśniej.

Jeszcze trudniejsza jest sytuacja ludzi, którzy popełniają czyn nienaruszający prawa, ale naruszający „kodeks przyzwoitości” obowiązujący w danym środowisku lub grupie społecznej. Wówczas zwykle są spaleni do końca życia, nawet gdyby następnie zachowywali się nienagannie. Pamięć ludzka, a za nią również opinia publiczna, nie zna instytucji przedawnienia ani rozgrzeszenia. Tak było na przykład w dawnych czasach, gdy istniała kategoria długów honorowych (najczęściej związanych z hazardem), których nieuregulowanie groziło prawdziwą infamią. Do tego stopnia, że często dłużnik wolał popełnić samobójstwo, niż narazić się na konsekwencje niezwrócenia długu.

Działanie niezgodne z takim niepisanym „kodeksem przyzwoitości” przytrafia się szczególnie często ludziom posiadającym władzę, zwłaszcza w systemie autorytarnym. Nawet jeżeli mają dobrą wolę i nie chcą swojej władzy nadużywać, samo życie wypycha ich w sytuacje, gdy muszą podejmować (czasem tylko firmować) decyzje szkodliwe lub krzywdzące, niekiedy wręcz zbrodnicze. O skrajnych przypadkach tego typu pisała dużo Hannah Arendt, formułując sławną tezę o „banalności zła”.

Sam też pamiętam dobrze okres PRL-u, gdy – przynajmniej w moim wąskim środowisku akademickim – panował pewnego rodzaju ostracyzm w stosunku do sekretarzy partii różnych szczebli, którzy byli traktowani jak trędowaci. Ich rzeczywiste zachowanie nie miało większego znaczenia,

ważna była etykieta. W niektórych kręgach ta plama jest nie do zmazania, nawet dzisiaj, przeszło 30 lat od tamtych czasów. Nieco łagodniej traktowano szeregowych członków partii (powszechnie krążył dowcip: nie można być równocześnie inteligentnym, uczciwym i partyjnym), ale jednak, w opinii wielu, jest to do dzisiaj pewna skaza na życiorysie.

Zauważmy, że te oceny są bezwzględne, nie uwzględniają żadnych subtelnosci i nie rozróżniają motywacji. A przecież motywy bywały różne. Niektórzy uwierzyli w atrakcyjne slogany i zaangażowali się szczerze w budowę „świetlanej przyszłości”. Inni próbowali – naiwnie – naprawiać system. Oczywiście byli też tacy, którzy z rozmysłem wykorzystywali sposobną chwilę i nadarżające się możliwości, nie przejmując się konsekwencjami. Potępiani są jednak wszyscy jednakowo, bez różnicy. I to nawet przez ludzi, którym – wykorzystując swoją władzę – pomogli w kłopotach. Podsumowując: nie ma cienia litości dla tych, którzy stanęli po niewłaściwej stronie historii.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja nieszczęśników, którzy znaleźli się w kartotekach Urzędu Bezpieczeństwa jako informatorzy albo tzw. kontakty operacyjne. Oprócz zwykłych łajdaków zdarzali się wśród nich ludzie słabi, których ubecja przyłapała na mniej lub bardziej poważnym delikcie i następnie zmuszała szantażem do współpracy. Bywała to zresztą niejednokrotnie współpraca pozorna, ludzie starali się z niej wymigiwać, jak potrafili, ale to naturalnie nie było łatwe, a w każdym razie ślad w teczkach zostawał. Nie mam powodu, ani też nie chcę ich bronić, sam wówczas uważałem ich za kanalie (słowo „donosiciel” było w tych czasach – i nadal pozostało – najgorszą obelgą), ale dzisiaj myślę, że warto może też rozważyć okoliczności łagodzące, zwłaszcza po tylu latach. Ale *vox populi* niuansów do wiadomości nie przyjmuje i litości nie zna.

Zadziwiająco, że ludzie współpracujący wówczas z „władzą ludową” i angażujący się w budowę „realnego socjalizmu” zupełnie nie zwracali uwagi na konsekwencje, jakie mogą ich spotkać po zmianie. Wszak powinni byli wiedzieć lub pamiętać, z jaką pogardą spotykali się nie tak dawno osobnicy oskarżani o kolaborację z niemieckim okupantem. Większość z nich zapewne nie brała w ogóle pod uwagę, że władza – wsparta przez potężne mocarstwo – może kiedyś upaść.

Widać, że takie przykre doświadczenia nie przenoszą się, a w każdym razie nie przenoszą się łatwo, z pokolenia na pokolenie. Żyjemy chwilą bieżącą, ignorujemy przyszłość. Nie chcemy pamiętać, że „spisane będą czyny i rozmowy”.

Ale potem trzeba zapłacić rachunek. Wiadomo: oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wypływa. Czy jednak na pewno zawsze sprawiedliwa? A może ślepa? Okrutna?

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.